

Kamila Pawełoszek

Śmierć słońca

W nocy poprzedzającej naszą ucieczkę nie mogłam spać. Duszny oddech przemijającego lata osiadł na moich pierśsiach niewidzialnym ciężarem. Czas dłużył się w nieskończoność pomiędzy spojrzeciami rzucanymi w kierunku cyfrowej tarczy zegara lśniącej w mroku jak zły omen. Dochodziła czwarta nad ranem. Zostało zaledwie kilka godzin, nim onyksowy aksamit nieba splamiał pierwsze strugi jaskrawego świtu. To nadzwyczaj wiele dla rozbudzonego łękiem umysłu i żalostí mało dla tęsknoty przeczesującej przeszłość w poszukiwaniu dawno nieistniejących miejsc i utraconych bliskich. Wtuliłam rozgrzaną twarz w zimniejszą połowę poduszki i próbowałam myśleć o moim przyjacielu. O tym, że już niebawem raz na zawsze opuścimy ten kraj i wyruszymy w nieznane, ku wschodzącemu słońcu wynurzającemu się zza kurtyny smolistej czerni. A wówczas po raz ostatni dotkniemy ziemi, której jesteśmy plonem, a która zmarniała, gdyż od lat nawożono ją wyłącznie ludzką niedolą.

Bałam się. Drżałam w ciemnościach jak uschły liść opadający w otchłań jesiennego bezczasu. Świadomość nadciągającej zmiany sunęła po skórze moich ramion i przenikała wewnątrz ciała, aż do serca szamoczącego się niczym motyl pochwycony w siatkę zbieracza. W milczeniu szukałam w sobie odwagi, gdyż groza klębiąca się w kącie pokoju wieszczęła mi los owada nabitego na szpilkę nieodgadnionego ciągu zdarzeń. Od niepamiętnych czasów jedynie wątpla nadzieja, że świat może być czymś więcej niż gruzami po rozbłysku skoordynowanej przemocy, chroniła mnie przed ostatecznym zwątpieniem. Chwytałam się tej wiary w najmroczniejszych chwilach życia, równocześnie tonąc w chaosie dziejowych burz i obserwując, jak otaczająca mnie rzeczywistość cyklicznie rozpada się, by wkrótce potem odrodzić się na nowo z lez i popiołów. Trwałam mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, odnajdując spokój w ciepłych ramionach Adama, mojego najlepszego przyjaciela. Razem wzrastaliśmy w tym mieście, zawisłym na cienkiej granicy życia i śmierci, i płynęliśmy przed siebie wraz z uciekającym czasem, choć huk wystrzałów wzmałgał się i cichnął, pożary karmiły się naszymi dzielnicami,

a krew spływała ulicami, krzepła i wsiąkała w beton. Przez większość życia ocalaliśmy się nawzajem.

Ponownie zerknęłam na zegarek. Pięć minut po czwartej. Parne powietrze zaczęło gęstnieć wokół mojego łóżka, przypominając mgliste opary wiszące nad tajemniczym stawem w środku głuszy. Temperatura wzrastała z każdym drgnięciem wskazówki i kolejną myślą nawiedzającą mój umysł w momencie, w którym tak bardzo ląknęłam sennego zapomnienia. Upał bezlitośnie wlewał się przez uchylone okno do pokoju o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, miejsca, które od pół roku stanowiło jedyną namiastkę domu, jaka mi pozostała. To nie było złe miejsce. Wiekowa kanapa niemalże nie skrzypiała, w jednodrzwiowej szafie zmieściła się większość mojego dobytku, a duże, wychodzące na wschód okno zdawało się optycznie zwiększać przestrzeń i wykraczać poza granice ośmiopiętrowego bloku z wielkiej płyty. Mieszkanie wypełniała kakofonia zmęczonych oddechów, za ścianą ludzie kochali się i wdychali z rezygnacją przed dniem ciężkiej pracy. Skuliłam się, zamknęłam oczy i zatraciłam we wspomnieniach z rodzinnego miasta, z którym już wkrótce miałam się rozstać. Powróciłam do wczesnych lat dzieciństwa, ponownie poczułam pierwszy, nieśmiały przebłysk słońca głaszczący moją okrągłą twarz nad brzegiem rzeki o świcie. Tata trzymał moją rączkę w ogromnej dłoni przypominającej ciepły bochen chleba z pobliskiej piekarni. Patrzyliśmy, jak kula światła na wschodzie rośnie i wyodrębnia się z mrocznej kotary nieba, kładąc się szkarłatem na falującym lustrze wody.

– Nadzieja umiera i rodzi się o świcie – powiedział, wpatrując się w dal, w pomarańczowe refleksy na linii horyzontu. Poranek był chłodny, woniał jesiennym deszczem, który kilka godzin wcześniej pokrył rosą żdźbła trawy i zmoczył drewniane ławeczki. Patrzyłam przed siebie dużymi, dziecięcymi oczami, chłonąc światło rodzące się wśród wszechogarniającej czerni. Nie pojmowałam sensu słów, które mój ojciec rzucił w przestrzeń i które krążyły nad nami jak zwiastun zbliżającej się katastrofy. Klucze dzikich gęsi sunęły wysoko w górze, przedzierały się przez szarzącą noc, umykały przed słońcem wydobywającym cienie

z osowiałych, bezlistnych drzew i naszych zamyślonych postaci. I nawet nieco później, gdy nad miastem rozwarła się otchłań, zsyłając na ziemię ogniste deszcze i wzbijając tumany czarnego, duszącego pyłu, wciąż jeszcze nie rozumiałam tego, co chciał mi przekazać ojciec tamtego pięknego poranka o świcie.

Mamy prawie nie pamiętałam. Jej sylwetka była cieniem pochylającym się nad moją biografią w niklej reminiscencji smutnego uśmiechu na szczupłej, bladej twarzy. Jej drobne ciało zdawało mi się efemeryczne, jakby wydrążone z witalnej energii napęlniającej wolą przetrwania skostniałe z rozpacz oblicze. Całkiem niedawno uświadomiłam sobie, że nie pamiętam już jej głosu.

Czy naprawdę miałam w sobie siłę, by po prostu odwrócić się i zniknąć jak senne widzenie, zostawiając za sobą ogrom przeżyć składających się na moją tożsamość? Czy komukolwiek przyszłoby łatwo porzucić dom, w którym pozostawiło się swój zapach i naznaczyło drzwi frontowe lepkim dotykiem dziecięcej dłoni? Kim mogłabym się stać poza domem, miastem, poza ojczyzną? Czy przetrwałabym w tej samej formie, czy przeobraziłabym się, zrzuciłabym z siebie zewnętrzną powłokę, która przez te wszystkie lata smakowała, czuła, wachała, widziała i słyszała? Czy naga dusza, która nie знаła niczego innego poza samą sobą, zdołałaby zastąpić dwudziestotrzyletnią historię scaloną w postaci jednej dziewczyny? Ta długa, duszna noc, powołując z mroku dręczące mnie pytania, dała mi zdecydowanie zbyt mało czasu, by szczerze odpowiedzieć na nie wszystkie.

Sen zupełnie mnie opuścił. Gdy przewróciłam się na drugi bok, po wewnętrznej stronie powiek zamigotała twarz Adama. Nawet wpatrując się w przeszłość, wciąż nosiłam w sobie obraz jego ciemnych oczu przypominających rozżarzone węgielki. Zastanawiałam się, czy tej nocy w ogóle położył się spać, czy czuwał, po raz tysięczny analizując wszystkie szczegóły naszej ucieczki i walcząc ze złymi przeczuciami w mrocznym sześcianie ciasnego pokoju. Zateśkniłam za jego kojącym rozsądkiem przywracającym wiarę w to, że świat podlega racjonalnym regułom, że niezależnie od tego, jak bardzo potężne wydaje się zło, to nawet ono nie jest w stanie wymazać ze świata radości. Jednakże w ostatnich miesiącach ciepły płomień nadziei na lepsze jutro jakby przygasł, trwale odmieniając mojego przyjaciela. Tocząca serce melancholia nakryła jego twarz, ścierając z niej resztki pogodnego wyrazu. Donośny, rozbrzmiewający optymizmem głos znacznie przycichł,

a wypowiedzanym zdaniom zaczęło brakować dawnej pewności. Zaciśnięte, przygryzione do krwi wargi przecinały jego oblicze niemalże nieuchwytnymi błyskawicami gniewu, który gotował się pod skamieniałą, zrezygnowaną skorupą minionego szczęścia. Czułam się całkowicie bezradna wobec jego stanu, gdyż wiedziałam, jak tragiczne wydarzenia znalazły się u źródła tej przykrej przemiany. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej podczas rządowej akcji odwetowej za niedawny zamach terrorystyczny – zaledwie drobnej potyczki z zacieklej wojny domowej pustoszącej naszą ojczyznę – tragicznie zmarła jego ukochana matka.

Czasami marzyłam o jakimś nieistniejącym państwie na mapie świata, w którym przez setki kilometrów rozciąga się wyłącznie morze wielobarwnych łąk pełnych pachnącego kwiecia i żyznych dolin pokrytych pasmami skrzącego się złotem zboża. Wyobrażałam sobie malownicze miasta tętniące codziennym zgielkiem, w których gra nigdy niemilknąca muzyka, składająca się ze zróżnicowanych pod względem barwy i tonu głosów mieszkańców. Próbowałam wyśnić sobie zupełnie nowy kraj, który zakotwiczył się gdzieś we wczesnym dzieciństwie i w większości pozostawał moim domysłem, pochodną mitu, w który uwierzyłam, aby nie wskrzeszać stłumionego bólu. To nie taką ojczyznę pamiętałam. Ulotne chwile szczęścia od zawsze raptownie przerywały okresy wszechwładnego chaosu, który pochłonął moją ukochaną bibliotekę, rozprysł się okruciami szkła w pokojach rodzinnego domu i zmusił moich rodziców, wraz z setkami tysięcy innych ludzi, do zejścia pod ziemię. Świat nad naszymi głowami płonął, wybuchał salwą wystrzałów i na chwilę stygnął, aby po chwili na nowo wypełnić miasto melodią szalu żądnego rozlewu krwi. Buntownicy triumfowali na zgłiszczach naszych domów i wycofywali się, a wojska rządowe strzelały do wszystkiego, co się rusza, nie oszczędzając nawet przypadkowych przechodniów zabłąkanych w zgielku walk. Tkwiłiśmy w schronie, który równocześnie pachniał babcinym kredensem i ludzkimi ekskrementami. Słowa modlitwy mieszały się z przekleństwami, płacz towarzyszył śmiechowi bez cienia wesołości.

A potem agresja mijala tak niespodziewanie, jak się pojawiła. Nagle nawoływano do opuszczenia schronów, sprzątano ulice, grzebano zmarłych i zmywano zastygłą krew z brukowanych chodników. Próbowano zapomnieć, zrzucić to wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, na karb chwilowego zamglenia umysłu, niewyjaśnionego szaleństwa, które ogarnęło tłumy. Skutkiem była

straszliwa pomyłka, której w przyszłości będzie można łatwo zapobiec. Tylko strach wciąż nie mijał, bez przeszkód sączył się do środka mieszkań przez wybite okna, w których jeszcze nie zdążono wstawić nowych szyb. Rozmawiano nerwowo, półsłówkami, zawsze oglądając się za siebie. I czekano.

Ostry blask reflektorów monitorował bezsenne osiedla i wdierał się wewnątrz zniszczonych podwórek, w których wciąż można było odnaleźć niewypały, a boiska do gry w koszykówkę pokrywały zeschnięte, rdzawe plamy. Pomimo wprowadzonej godziny policyjnej w całym mieście nikt nie czuł się bezpiecznie. Dorośli czuwali w fotelach, wsłuchując się w noc. Od czasu do czasu nagła ruchliwość, gniewne krzyki, potworny skowyt przeszywały na wskroś otępiałą z przerażenia duszę miasta. Dzielnie szukano winnych, a gdy odnalezienie ich okazywało się niemożliwe, wybór kozła ofiarnego pozostawiano niefortunnemu zbiegowi okoliczności i czystemu przypadkowi. Cykl się dopełniał: momenty krwawej anarchii prędko ustępowały bezlitosnej dyktaturze, a wszechmocny arsenał państwa odnosił porażkę w obliczu pożądających zemsty ekstremistów. Reszta z nas starała się po prostu przetrwać.

Będąc dzieckiem, wierzyłam, że to klątwa złego czarodzieja z bajki, którą tata czytał mi przed snem, sprawiała, że otaczająca nas przestrzeń pozostawała płynna, niestabilna, w stanie wiecznego niedopełnienia. Nikt nie zadawał sobie trudu, by śmiało spoglądać w przyszłość, gdyż każdy plan mógł w jednej chwili zniweczyć nowy kataklizm. Mimo to trwaliśmy w naszym widmowym życiu, prowadząc znojną egzystencję myszy umykających w takim samym stopniu przed rzeczywistym, jak i potencjalnym zagrożeniem. Przywykliśmy do bezustannego manewrowania pomiędzy zwaśnionymi stronami i nie wysnuwaliśmy żadnych oczekiwań, gdyż nigdy nie było wiadomo, w jakim miejscu spędzimy następną noc. Byliśmy nomadami poruszającymi się po zmierzchu, z wytęsknieniem oczekiwaliśmy wschodu słońca, kiedy cienie traciły swoją anonimowość i rozgorzały ludzkim gniewem świat znów zaczynał przypominać znajome miejsce, w którym można istnieć.

Spiekota stawała się nie do wytrzymania. Tkwiłam skulona na skotłowanym prześcieradle i bałam się, że ściany zaczną się przesuwać i na zawsze zamkną mnie w mrocznym grobowcu ze wszystkimi wątpliwościami. Zegar wskazywał piątą. Żar wzmagął się, pożywiony moim niepokojem, i zrosił rozgrzaną skórę twarzy i pleców długimi strużkami potu. Nie mogłam wstać, gdyż napór zbliżającego się

nieuchronnie rozstrzygnięcia przytwierdził mnie do łóżka, tłocząc ze ściśniętych w bolesnym skurczu płuc gorącą parę płytkiego oddechu. Ciemność szarzała, odkrywając przed moimi oczami zarysy skromnego wyposażenia i niewielki tobołek oparty o popękana ścianę. Całe swoje dotychczasowe życie zmieściłam w zaledwie jednej torbie, lecz to, co pozostało wewnątrz mnie samej, niewidoczne dla postronnych, nie dawało się ulokować w żadnej znanej mi przestrzeni. Tego bagażu doświadczeń nie pozbędę się już nigdy.

Nie rozumiałam, dlaczego całym sercem łaknę spokoju, pełna marzeń o wolności, której nie trzeba wydzielać w skromnych dawkach wykradzionego czasu, mój wzrok kierował się ku miejscom, których ściany nasiąkły ludzkim cierpieniem. Czułam w swoich trzewiach rosnącą przepaść, którą tak bardzo pragnęłam przekroczyć, lecz moje stopy wciąż wrastały w ojczywą ziemię, która okazane przywiązanie splecała wyłącznie krwią i łzami. Straciłam matkę, ojciec przebywał w więzieniu z długoletnim wyrokiem za protest przeciwko przemocy. Mój najlepszy przyjaciel z każdym dniem przeobrażał się w zupełnie obcego mi człowieka.

– Boże, jak duszno! – Poderwałam się z łóżka jak przestraszony ptak i usiadłam, opierając się łokciami o chude biodra. Upał burzył krew w moich żyłach, gotując rozkolatanę serce w straszliwym przeczuciu, które promieniowało do gardła i zaciskało się wokół niego jak metalowa obręcz. Kilka łez spłynęło po zarumienionych policzkach i niemal natychmiast wyschło, gdy udało mi się powstrzymać łkanie. Przysunęłam się w stronę okna, chłonąc widok podwórka pokrytego betonem z nielicznymi plackami zielonej trawy. Osiedle spalo, zostało jeszcze co najmniej pół godziny, nim pierwsze okna rozjarzy blade światło gólej żarówki, a za frankami zamigoczą zmęczone sylwetki ludzi szykujących się do pracy.

Spojrzałam w niebo. Wyobraziłam sobie nieskończone smugi czerni sunące pod gromadami odległych gwiazd i ścierające z przestworzy ślady ognistej purpury, aby wyczekiwany przez miliony świt nigdy nie nadszedł. Czy nadejdzie kiedyś moment, gdy lodowate palce nocy zacisną się wokół sennego słońca i zduszą jego blask, kładąc kres zarówno nadziei, jak i gehennie tych, którym wschód nie przyniósł ukojenia w cierpieniu? Wypatrując na horyzoncie pierwszych płomieni świtu, myślałam o śmierci słońca, po której nie byłoby ani radości, ani smutku, miasta nie byłyby burzone i obracane w ruinę, a w zabytkowych uliczkach już nigdy nie odbiłoby się echo ludzkiego głosu.

Lodowata pustka stałaby się jedynym dziedzictwem miliardów zakrzepłych istnień.

Chciałam myśleć o nadchodzącym dniu, o momencie, w którym razem z Adamem, ukryci w ciasnym schowku wewnątrz ciemnej ciężarówki, przekroczymy granicę kraju. Nie wiedziałam, dokąd zaprowadzi nas przeznaczenie, którego nici biegną nieprzerwanie we wszystkie cztery strony świata, lecz wierzyłam, że będzie to kraina, w której odzyskam przyjaciela, uchronię go przed losem będącym udziałem wielu młodych mężczyzn – synów naszego narodu.

Nigdy nie mogłabym zapomnieć wyrazu jego twarzy będącej żywą, odwróconą kopią Piety, gdy niósł przez dogasające zgliszcza lekkie, owinięte szarą płachtą ciało matki. Kilka dni później, głosem złamanego człowieka wydobywającym się jakby spod tafli wody, opowiadał, jak jej oczy gasły w rozśpiewany, majowy poranek pachnący bzem i dymem. I już wówczas wiedziałam, doskonale odczytałam to ze zmarszczonego czoła, zaciśniętych, pobielających pięści i brutalnych, szybkich gestów, że jedynie zemsta przyniosłaby mu chwilowe wytchnienie w bólu. Podejrzewałam, że Adam nawiązał stały kontakt z komórką rebeliantów i wystarczy zaledwie iskra, by płomień stłumionej nienawiści pochłonął mojego przyjaciela w pierścieniu ognia. Przestał mi się zwierzać. Niegdyś całymi godzinami potrafiliśmy siedzieć na dachu wyłączonej z użytku hali produkcyjnej i rozmawiać o teraźniejszości, o tym, gdzie można kupić taniej chleb, gdzie ostatnio policja zrobiła nalot, w której dzielnicy kręcili się buntownicy oraz o tym, co pozostawało wyłącznie naszym osobistym doznaniem: że czasami nie możemy spać, gdy w oddali rozlegają się strzały, a beznadziejność jutra wyciska wstydlive lzy w nieprzeniknionym mroku. Mimo to czasami ośmielaliśmy się snuć plany na przyszłość, potrzebowaliśmy tych złudzeń, by stawić czoła życiu.

Usiadłam przy oknie, przykładając rozgrzane czoło do chłodnej szyby. Wyobraziłam sobie, że moje skulone ramiona pokrywa gruba warstwa piór, przeobrażając je w rozłożyste skrzydła stworzone do wymagających podróży przez wietrzne korytarze. Przez chwilę napawałam się lekkością, którą nagle zyskało moje zmęczone, ciężące ku ziemi ciało, i wychyliłam się przez otwarte na oścież okno. Wyleciałam na zewnątrz. Wzbiłam się w górę. Przeistoczyłam się w zwiewną istotę utkaną z prześwitów światła na chmurnym niebie, zostawiając za sobą nieprzyjazny świat w dole, zatracając się w beztroskim locie wśród przestworzy. Nie należałam już dłużej do konkretnego

państwa i nie czułam przywiązania do żadnego znanego ludzkości punktu na mapie globu. Moja tożsamość uległa rozpadowi, srebrząc puszyste chmury resztkami minionej historii, która od tamtej pory nie miała już najmniejszego znaczenia.

– *Nie możesz tak dłużej żyć – powiedziałam stanowczo. Czerwcowy deszcz sphywał w dół zardzewiałymi rynnami i dudnił w uchylone okno, przez które do wnętrza pokoju wpływało wilgotne, pachnące solą powietrze. – Prawie nie rozmawiamy, a kiedy już się odzywasz, to pozostajesz nieobecny myślami. Przeraza mnie to, co możesz planować nawet w tej chwili, a doskonale wiem, że coś dużego zaprzęta twoją głowę, znam cię nie od dziś.*

– *Kasiu, byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś...*

– *Wiem, że pragniesz zemsty, wiem, że znasz ludzi, których nie powinienes znać, i naprawdę jestem ostatnią osobą, która będzie cię za to osądzać. Ale nie pozwolę ci umrzeć, rozumiesz?! Dość już łez, dość trupów, dość śmierci w tym przeklętym kraju! To państwo nie bez powodu osacza nas ze wszystkich stron, ono wręcz pragnie, byśmy zaatakowali i roztrzaskali się o ściany tej wielkiej klatki.*

– *Co w takim razie proponujesz?*

Spojrzałam mu w oczy.

– *Ucieknijmy. Wiejmy z tego kraju, póki jeszcze możemy.*

Obudziły mnie płomienie wschodzącego słońca, które ogarnęły wnętrze pokoju, wypełniając go tańcem purpurowych cieni na osypujących się z tynku ścianach. Uniosłam obolałą głowę znad stołu, potarłam czoło, mrużąc oczy w pąsowym świetle, które wyparło bezdenną czeluść nocy. Zupełnie straciłam poczucie czasu, choć moje ciało wybudziło się z drzemki spięte i zeszywniałe, podświadomie czuwało nad nieprzytomnym umysłem. Niebo gorzało, przechodząc pod kuratelę sierpniowego słońca znaczącego czerwonym blaskiem senne podwórka i drzewa pokryte zielonymi liśćmi. Temperatura wciąż rosła. Cienie krążyły coraz szybciej i szybciej, zatracając się w szaleńczej zabawie. Powietrze kotłowało się w małej przestrzeni jak para wydobywająca się z uchylonych drzwiczek rozpalonego do czerwoności pieca. Nie mogłam oddychać, jaskrawe promienie spaliły resztki życiodajnego tlenu. Wpatrywałam się w słońce, na milczący triumf jasnego blasku nad otchłanną czernią i szukałam w nim nadziei, której byłam spragniona w ten gorący, ociekający szkarlatem poranek w dniu naszej ucieczki. Nie odnajdywałam jej jednak. Z jakiegoś powodu

na jaśniejącym niebie, które powinno zwiastować nowy początek, dostrzegałam wyłącznie plamy krwi krzepnącej na rozdartej tkaninie utraconej niewinności.

Podskoczyłam na krześle, chwyciłam zegarek. Adam powinien zjawić się u mnie przed piętnastoma minutami. "Może coś go zatrzymało?", tęskniące za dobrym zakończeniem myśli starały się zmylić mnie w drodze, która prowadziła przez ognistą zorzę w jednym możliwym kierunku: wydarzyło się coś bardzo, bardzo złego.

Straszliwe przecucie, które mimo żaru lejącego się z nieba, spłynęło na mnie lodowatym dreszczem, nakazało otworzyć drzwi mieszkania i wybiec w skąpany w pomarańczowym świetle krajobraz. Sunęłam przed siebie, w kierunku śródmieścia, z każdym pokonanym metrem pozbywając się topniejących złudzeń tak jak wąż zrzucający z siebie zbyt ciasną skórę. Poczułam w nozdrzach charakterystyczny zapach spalonej łuski, który sączył się do mojego gardła i smakował piołunem. Miałam przeciwko sobie słońce, którego karcące rozbłyski przypominały o nadrzędnej zasadzie mojej ojczyzny, która darzyła swoich mieszkańców tak szczerą miłością, że nadzwyczaj prędko pragnęła pochować ich w swojej ziemi. Biegłam prosto w ruchomą masę walczących ciał, która pojawiła się w zasięgu mojego wzroku, aż dotarłam do skrzyżowania. Huk wstrząsnął ulicami, zamroził czas, upadłam jak ryba wyrzucona na piaszczysty brzeg przez złowieszcze fale. Unieruchomiona na pękającej w salwach wystrzałów ziemi, ogłuszona przez gniew buzujący z nawołujących się

po imieniu, wykrzykujących przekleństwa głosów, szukałam w ferworze walk mojego przyjaciela. Wojskowe kamizelki mieszały się z kurtkami rebeliantów, a w punktach styku rozkwitały czerwone kwiaty.

Czy to drwina wschodzącego słońca, czy czysty przypadek sprawił, że z kurtyny wzbitego w górę pyłu nagle wyodrębniła się szczupła sylwetka Adama? Czy nasze spojrzenia naprawdę się skrzyżowały, czy rozpoznał mnie skuloną na bruku, gdy moje usta bezgłośnie wymówiły jego imię? Czy to z mojej winy niespodziewanie wychylił się zza wzniesionej barykady, oddając kilka strzałów z chałupniczego karabinu? Czy upadł od razu, czy najpierw posłał w moim kierunku zmęczony uśmiech? Naprawdę nie wiedziałam.

Przestałam zwracać uwagę na otoczenie. Człogałam się przez pogorzelsko, plułam pyłem, który dostał się do moich ust podczas wybuchu. Rozpostarłam dłonie, szukając w zasięgu drżących palców postaci mojego przyjaciela. Odnalazłam go. Ciało powoli zaczynało stygnąć. Przygarnęłam Adama do piersi, którą przesywał ból tak wszechogarniający, że nie sądziłam, żebym kiedykolwiek zdołała nauczyć serce na nowo pompować życie do żył.

– Wiem, że nie byłeś w stanie dokonać innego wyboru – wyszeptalam. Słońce umierało, topiąc się we własnej, gorącej krwi, której ogniste strugi zachlapały niebo niechlujnymi zaciekami. Do moich uszu dobiegły pokrzykiwania żołnierzy. Kordon się zacieśniał. Świat dogorywał w karmazynowym blasku, a ja znowu miałam w ramionach swojego przyjaciela.

KAMILA PAWEŁOSZEK

– (ur. 1999) – absolwentka filologii polskiej i początkująca copywriterka, obecnie mieszka w Bydgoszczy. Píše od dziecka, lecz dopiero od niedawna zaczęła wychodzić ze swoją twórczością do większej liczby odbiorców. Publikacja na łamach nieregularnika „Epea. Pismo literackie” jest jej literackim debiutem. Zakochana po uszy w polskiej i zagranicznej literaturze pięknej oraz literaturze faktu, w wolnym czasie nadrabia klasyki kina i chodzi do teatru. Miłośniczka *Gwiezdnych wojen* i mocnej kawy. Kiedy nie pisze i nie czyta, można spotkać ją na spacerze w najbliższym parku lub lesie w okolicy.

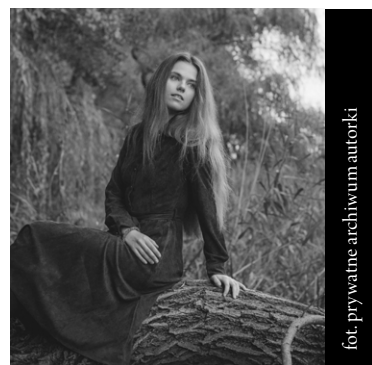


foto: prywatne archiwum autorki



Julia Borowska / PLSP w Supraślu